ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 21-go Października 1897. Nr. 42.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) —

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Dokończenie.)

Po półgodzinnej jeździe dojechali do cmentarza świętego Kaliksta, a pod przewodnictwem Waleryi cały orszak z pochodniami i wieńcami zeszedł do miasta umarłych. Gdy po krótkiej wędrówce doszli do celi, w której spoczywała Sofronia a którą cechował podwójny napis poświęcony jej przez Rufina a obok próżny grób, który swego czasu Walerya zgotowała swemu ojcu, wtedy opanowało ich wielkie wzruszenie, a szczególnie Walerya nie mogła powstrzymać łez gwałtem się do oczu cisnących i wybuchła głośnym płaczem. Atoli boleść to była łagodna błoga osłodzona świętą pociechą. Nasuwało się wprawdzie obydwom życzenie: obyś ty żyła jeszcze, aby dzielić z nami to nasze szczęście! Lecz czuli także, że ona jest blisko nich i spogląda na nich czule z przybytku błogosławionych. Teraz też dopiero pojął Rufinus w zupełności treść swojego napisu. »Sophronia dulcis, semper vives Deo, Sophronia vives, Słodka Sofronio, ty żyć będziesz zawsze w Bogu;« w milczeniu wydrapał dłutkiem zostawionem przez jakiegoś grabarza na tynku jeszcze trzeci napis:

Sophronia, vivas felix cum tuis! — Sofronio, żyj szczęśliwie z Twoimi!

Teraz jako chrześcianin, był Rufinus przekonanym o prawdzie zasady wiary naszej, która tyle w sobie zawiera pociechy, że śmierć nie stanowi przepaści między umarłymi a pozostałymi przy życiu, tylko niby lekka zasłona odgranicza wiernych Kościoła wojującego a tryumfującego. Był przekonanym, że Sofronia nietylko wiecznie żyć będzie w Bogu, ale że także stać będzie u boku swoich najbliższych z niebiańską miłością; jako w dniach doświadczeń i utrapień wspierała męża i córkę modłami przed tronem Wszechmocnego i Miłosiernego tak teraz w niebie dzieli z nimi cichą a błogą ich radość.

Obydwa pierwsze i trzeci napis jako wypływ iście chrześciańskiego uczucia, zachowały się do dziś dnia w katakumbach świętego Kaliksta. Walerya i Irena złożyły wieńce na grobie matki i przyjaciółki i udały się następnie do miejsca spoczynku dwóch dziewic.

Był to prosty grób, w którym spoczywały zwłoki dwóch dziewic męczenniczek obok siebie; na grobowcu nie było nawet żadnego napisu. Ale Irena kazała nad grobem swych córek wymalować, jako wzory biblijne trzech młodzieńców babilońskich, a teraz, gdy płomienie prześladowania już przygasły, czuła wielki pociąg do zaintonowania hymnu, który zanucili owi męczennicy starożakonni.

Kandyda powołano do służby wojskowej z domu rodzicielskiego z pośród zabaw dziecinnych, gdyż zaledwie wyszedł z lat chłopięcych; powróciwszy z wyprawy wojennej stał teraz wraz z matką przed grobami sióstr swoich; tymczasem zwłoki ojca męczennika spoczywały zasypane w dołach piasczystych przy ulicy łacińskiej, czekając, aż syn podniesie je ztamtąd i wystawi im grób w środku katakumb, który po wszystkie czasy uwieczni imię świętego Kastula. Syn i matka powiesili nad grobem dwa wieńce z kwiatów; Kandydus oprócz tego zaopatrzył kamień marmurowy w zwycięzki monogram Chrystusa, za którego wyznanie obie siostry poniosły chwalebną śmierć męczeńską, w którym teraz zażywały pokoju wiecznego ciesząc się wieczną radością pospołu z ojcem swoim.

Walerya oprowadzała następnie orszak po najznakomitszych grobach męczenników do kaplicy, w której od stulecia grzebano zwłoki papieży, do przyległego grobu świętej Cecylii, do kaplicy podziemnej św. Sotery i do najstarszego oddziału cmentarza, gdzie spoczywała święta Lucyna, uczennica świętych apostołów. Są to te same święte miejsca, które do dziśdnia stanowią cel pobożnych pielgrzymów, chociaż święte szczątki ciał męczenników dawno przeniesione zostały do kościołów miasta, a czas jako też barbarzyństwo dzikich ludów wiele z nich poniszczyło. Wtenczas jeszcze wszystko było nietknięte, sarkofagi, trumny kamienne, kamienne płyty przed pojedyńczymi grobami, lampy, któremi oświetlano w rocznice śmierci zmarłego groby, przedmioty wciśnięte w świeże wapno tynku, które przypominały chrześcianom zapieczętowanie grobu Chrystusa Pana i jego Zmartwychwstanie, tudzież malowidła, któremi ozdabiano sufity i ściany grobowców.

Podczas tej wędrówki po katakumbach napotykali często na większe lub mniejsze grupy wiernych, którzy z świeczkami w ręku odwiedzali święte miejsca; często gęsto dolatywały ich uszu odgłosy ich pobożnych pieśni; wiele grobów przyozdobionych było w świeże wieńce, na innych zaś płonęły lampy wmurowane w płyty grobowe.

Walerya umiała wszystko z dziwnym wdziękiem objaśniać. Jako ogrodnik, obchodząc między bujną zielenią swych regularnych grząd to tu, to tam odcina jakąś gałązkę, pączek lub kwiatek, aby z nich uwić wspaniały wieniec lub bukiet, tak umiała Walerya czarująco objaśniać tu jakiś napis, tam znowu jakiś symbol lub malowidło; prowadziła ona przyjaciół do bogato ozdobionej kaplicy, to znów zatrzymywała się przed prostym nagrobkiem, gdzie spoczywały resztki ciał mnogich męczenników rozszarpanych przez dzikie zwierzęta lub spalonych na stosach; albo wreszcie oprowadzała pobożny orszak z piętra na piętro po wszystkich ulicach i zaułkach wielkiego miasta umarłych. Rufinus z zachwytem słuchał na każde słowo, które wyszło z ust ukochanej córki; a i Kandydus, który zachował tylko wspomnienie katakumb z czasów najpierwszej młodości, nie wiedział, co więcej podziwiać, czy bogactwo i klejnoty, które mieściły w sobie święte skarbce kościoła czy też głęboką pobożność i wzniosłe pojmowanie, z jakiem jego narzeczona umiała wszystko przedstawiać i objaśniać.

— Patrzcie-no tutaj — rzekła Walerya, prowadząc swoje towarzystwo do jednej kaplicy zdobnej w filary i bogato malowaną framugę — to malowidło zostało wykończone dopiero przed kilku miesiącami. Jestto jedno z najumiejętniejszych przedstawień w naszych cmentarzach: Wyobrażenie dobrego pasterza, symbol przedstawiający Pana, który zbłąkaną ludzkość na miłosiernych ramionach zanosi do owczarni, którą jest Kościół jego. Z głową zwróconą ku niemu, ciśnie się na około niego wierna trzoda, a jego posłannicy, rozbiegają się na wszystkie strony świata, rozsiewając wszędzie między narody ziarno zbawienia, które przyniósł nam Chrystus. Jedni słuchają wprawdzie z utęsknieniem i skruchą poselstwa pełnego łask, ale inni brną dalej w zmysłowości i rozkoszach ziem-

skich, albo odwracają się hardo od pasterza i jego posłanników.

— Znajduję się dopiero w przedsionku kościoła — zawołał Rufinus, uradowany i zdziwiony zarazem wzrok utkwiwszy na malowidle — a już tu wszystko, co widzę jest tak piękne! Cóż dopiero danem mi będzie oglądać za wejściem do wnętrza świątyni Pańskiej!

Ustawiczne zadawał Waleryi pytania, aby go pouczała, a im więcej się dowiadywał, tem bardziej rozjaśniało się w duszy jego.

— Powiedzże mi, co oznacza ta ryba, którą tak często na obrazach widuję — zapytał Rufinus, gdy zatrzymali się w najstarszym oddziele katakumb przed ciekawem wyobrażeniem, na którem odmalowana była płynąca po wodzie ryba tuż obok koszyczka z chlebem i winem.

Walerya nie odkryła jeszcze ojcu podczas nauk przygotowawczych do chrztu w więzieniu mamertyńskiem tajemnicy, którą odkrywano przy nauce zwykle dopiero na samym końcu; dla tego, gdy ojciec jej zadał to ostatnie pytanie, spojrzała pytająco na Irenę, a ponieważ matrona skinęła z uśmiechem głową, odpowiedziała:

— Na grobach widzimy wyrytą już to rybę już też grecki wyraz ichtys, oznaczający rybę. Wyraz ten rozłożony na pojedyńcze głoski daje początkowe litery do pięciu słów greckich oznaczających Chrystusa Pana: Jezos Christos Theu Hios Soter, Jezus Chrystus, syn boży, Zbawiciel. W ten sposób ryba stała się symbolem Chrystusa Pana. Dla tego też widzimy na kamieniach grobowych wizerunek, albo też wyraz ryby, który znaczy, że niebożczyk umarł we wierze Jezusa Chrystusa, syna Bożego i w nadziei w przyszłe Zmartwychwstanie przez zasługi śmierci Zbawcy. Podobnie też jest ryba ta — mówiła dalej Walerya wskazując na malowidło — która jako żywa podnosi się nad wodę, wyobrażeniem Syna Bożego, który powstawszy z toni cierpień do życia wiecznego po prawicy Ojca, jest przecież w połączeniu z nami przez cudowny pokarm, który nam ofiaruje. Wprawdzie oku i smakowi naszemu wydaje się ten pokarm tylko chlebem i winem, ale w rzeczywistości na jego słowo wszechmocne przemienia się w nadprzyrodzony, niebieski, boski pokarm.

Tu Walerya zatrzymała się, gdyż obawiała się dalej uchylić zasłonę tej boskiej tajemnicy. Ale Rufinus patrzał w zamyśleniu na obraz i rzekł:

— Na innym obrazie widziałem rybę obok koszów pełnych chleba jako pokarm dla zawezwanych na ucztę gości; tu ryba obok chleba i wina stanowi niejako jedność. A ponieważ według twego objaśnienia ryba wyobraża nam Chrystusa, więcby ten zupełnie naprzyrodzony, niebieski i boski pokarm, który naszym zmysłom wydaje się tylko chlebem i winem, miał być...

Rufinus zamilkł, myśl ta albowiem wydawała się mu zbyt wzniosłą i świętą, aby ją wymówić.

Zachwytem jaśniejące oko Waleryi i błogi uśmiech na jej ustach dawały mu milczącą ale wymowną odpowiedź potwierdzającą.

— O moje dziecię — zawołał Rufinus głosem wzruszonym — jestże to możliwem choćby nawet w przypuszczeniu, aby Bóg tak bardzo zniżył się do nędznego stworzenia i czyż może robak w prochu się tarzający przyjąć Boga do siebie? Czyż nie zgniecie człowieka majestat boski i nie spali go jego wielkość?

— Miłosierdzie Boże, które wisiało na krzyżu dla naszego zbawienia — odpowiedziała Walerya — stanęło z rozpiętemi rękami między niebem a ziemią, między Bogiem a ludźmi, ściągnęło Boga Nieskończonego do prochu, a podniosło syna ziemi aż do serca Boga, Ojca nas wszystkich.

— A mogęż ja — zapytał Rufinus a łza stanęła mu w oku — który tak długo służyłem znikomym bożyszczom i tak uporczywie odpychałem od siebie łaskę, mogęż ja nikczemny grzesznik mieć nadzieję, że będę przypuszczony do przyjęcia tego chleba niebieskiego, aby mego

Boga i Stwórcę.... o moje dziecię, moje dziecię.... czyż wolno mi wyciągnąć ręce do Syna Bożego, czyż moje usta będą mogły dotknąć się go, a serce będzie mogło go objąć w sobie? Nie, ja nie jestem tego godzien! Ale wolno mi modlitwą podziwiać i uwielbiać go i miłosierdzie Jego w postaci chleba; wolno mi przypatrywać się, jak wy, czyste i świętobliwe dusze przyjmujecie Go do siebie i zatapiacie się w Nim. O, teraz widzę dokładnie — mówił dalej — o jaki cud rozbiła się moc i potęga cesarzy; teraz pojmuję, dla czego święci męczennicy z taką radością, zapałem i uniesieniem szli na śmierć i nie ulękli się przed narzędziami męczarni, na których widok ja zadrżałem na całem ciele.

Irena i Kandydus przysłuchiwali się tej rozmowie z wzrastającem wzruszeniem. Oni rozumieli i pojmowali wprawdzie ten niewysłowiony sakrament lepiej i głębiej od Rufina, a jednak silne zrobiło na nich wrażenie, gdy spostrzegli zachwyt jego i podziw błogi, skoro mu tę tajemnicę objaśniła Walerya.

— Ale powiedzże mi — rzekł znowu Rufinus, który nie mógł się oderwać od tego obrazu, — przez co i jakimże to sposobem przemienia się chleb i wino w ten pokarm niebieski, w owę boską rybę, w Jezusa Chrystusa, syna Bożego i Zbawcę naszego? Ty się wahasz z daniem mi opowiedzi; o pozwól mi jeszcze choć cokolwiek dalej zajrzeć w tę tajemnicę boską! — Ja już przeczuwam, że ta przemiana odbywa się zupełnie cudownym Boskim sposobem. Czy może Pan Bóg ukazuje się wprost z nieba między nami, gdy wszyscy połączeni i zgromadzeni jesteśmy na wspólnej modlitwie, aby Swą boską Wszechmocnością dokonać tej niewysłowionej tajemnicy? Albowiem któż oprócz Niego byłby tak świętym i miałby taką moc?

— Objaw mu już wszystko! — rzekła Irena i Kandydus jednogłośnie do Waleryi, zachwyceni gorącością uczuć, z którą Rufin pragnął dotrzeć do świętej tajemnicy,

— Ojcze — rzekła Walerya, a głos jej brzmiał jeszcze uroczyściej — obok tego obrazu, gdzie była przedstawiona uczta widzieliście jeszcze inny obraz, mianowicie mężczyznę odzianego w szeroki płaszcz, jak nosili się dawniej nasi kapłani na wzór filozofów pogańskich, stojącego obok stołu (wyobrażającego ołtarz) o trzech nogach. Mąż ten rozkłada ręce nad chlebem i rybą leżącą obok na misce. Naprzeciwko wyobrażona jest niewiasta modląca się z rękami wzniesionemi ku Niebu.

Tu Walerya wstrzymała się na chwilę; musiała jeszcze bardziej skupić ducha, aby tę tajemnicę godnie mu przedstawić. Potem rzekła ze wzruszeniem:

»Słowo, wypowiedziane nad chlebem usty śmiertelnemi, zadaje Nieśmiertelnemu i Niezmierzonemu gwałt; stawszy się wszechmocnem przez tchnienie boskie przemienia przedmiot martwy w żywotny, rzeczy ziemskie w niebieskie, owoc ziemi w pokarm niebieski, a pod zasłoną i postacią chleba kryje się boska ryba na ołtarzu, Jezus Chrystus; ubóstwiając go stoi Kościół z rękami ku niebu wzniesionemi przed Synem Bożym, Zbawcą, z żywą wiarą w Jego słowo: »Bierzcie i jedzcie, oto ciało moje.«

Rufinus stał chwil kilka w milczeniu, mocując się z niezmierną wielkością tajemnicy, która przewyższała rozum jego. Nareszcie tak się odezwał:

— Jakże czystymi i świętymi muszą być kapłani nasi, przez których usta Chrystus niejako na nowo się rodzi; jakże nieskalanemi muszą być te ręce, którym On się powierza, ukryty pod postacią chleba! Jakaż niewymowna ta miłość Odwiecznego, który ułomnemu synowi prochu ziemnego daje moc nad sobą, że jedno słowo z ust jego wystarcza do tego, aby niską naturę chleba przemienić nie w człowieka ani w anioła, lecz w naturę boską! Nie, nie, tego żaden ludzki rozum nie pojmie ani nie zrozumie! Ach moje dzie-

cię — rzekł po chwili milczenia — jakże słodką jest i niebiańską nagroda za cierpienia, które poniosłem, że przez nie doszedłem do poznania największego cudu łaski Boga dla ludzi.

— A jednak — mówiła Walerya — muszę zasłonę tajemniczą bardziej jeszcze odchylić, aby wam wszystko opowiedzieć, czego uczy nas wiara o tej tajemnicy. Oto kapłan stoi przy stole, przy ołtarzu, gdyż do ofiary potrzeba kapłana i ołtarza. Lecz aby to pojąć — dodała Walerya — musielibyście poprzednio być pouczeni o innych jeszcze prawdach naszej wiary, a obawiam się, czy was już i tak nazbyt nie utrudziłam mojem opowiadaniem.

— Czyż człek odczuwa słabość cielesną, moje dziecię — zawołał Rufinus — gdy dusza tak wysoko ponad wszystko co ziemskie się wznosi, albo czyż odczuwa więzień swoje kajdany, gdy całe Niebo świeci mu do więzienia światłością boską? Ale ojciec twój idzie za tobą jak baranek za pasterką, choćby go ona z pola rozkoszy niebieskich wyprowadziła na suchą pustynię świata tego.

Po więcej jak dwugodzinnym pobycie doszła Walerya z swoim orszakiem znowu do schodów wychodzących z cmentarza na świat słoneczny. Przez otwarty wchód wpadały promienie światła dziennego, a idąc za jego wezwaniem wyszło całe towarzystwo z katakumb. Gdy Rufinus z trudem i wysileniem wstępował po schodach, przyczem podpierała go Walerya, rzekł z wyrazem najwyższej wdzięczności:

— Gdy na stromej drodze z nocy prawdy, miłość podaje pielgrzymowi rękę, to za pomocą i łaską Boga dochodzi on przecież do swego celu.

Gdy cały orszak wyszedł z ogrodu, w którym znajdował się cmentarz na ulicę apijską, siedział tam przy drodze, jak to zwykle bywa, chłopiec wiejski, raczący strudzonych owocami jesiennymi. W obszernym jego koszyku znajdowały się oprócz jabłek, gruszek i innego owocu także winogrona, piękne, niebieskie winogrona; chłopiec podnosząc jedno z najpiękniejszych podawał je z zapraszającym uśmiechem Waleryi.

— Owszem — zawołała dziewica, której wczoraj i dzisiaj raz poraz przychodziły na pamięć ostatnie słowa Sofronii — podaj to piękne, niebieskie winogrono; to moja droga matka posyła mi je! Czy przypominacie sobie jeszcze? — rzekła zwracając się do swego ojca, a wielka, tęskna łza jak perła zawisła w jej oku, podczas gdy zgniotła w palcach jednę z jagód.

Powłoka jest niebieską — odrzekł Rufinus z głębokiem wzruszeniem, powtarzając słowa swej małżonki, — ale zawarta w niej treść jest jasna i czysta, a naokół ziarn jagodowych znajduje się sok słodki; tak też ma się rzecz z cierpieniami.

Z powrotem do miasta napotkali nasi wędrowni oddział żołnierzy prowadzących więźnia okutego w ciężkie kajdany. Jakże zdumiał Kandydus, gdy poznał w skazańcu kapłana słońca, Gordyana! Równocześnie i więzień podniósł głowę, a szatańska wściekłość wykrzywiła szpetne jego rysy na widok trybuna. Znienawidzony chorąży imienia Chrystusowego, okryty zaszczytami i chwałą, promieniejący szczęściem, — a on sam skazany na śmierć, znajdował się w drodze na odludną wyspę skalistą, dokąd go ułaskawił cesarz na dożywotnie wygnanie!

W ośm dni potem klęczeli Kandydus i Walerya w bazylice lateraneńskiej przy tym samym ołtarzu, na którym kiedyś książe apostołów sprawował święte tajemnice, w towarzystwie swoich rodziców, aby w obliczu Boga i całego kościoła zawrzeć dożywotni święty związek małżeński. Konstantyn przyjął na się wyprawę oblubienicy, i wywiązał się z tego z iście cesarską hojnością. Lecz w oczach Waleryi kosztowniejszą od bogactwa pereł i drogich kamieni, od kosztowności z złotych sprzączek czy zausznic była puszka w kształcie serca zawierająca w sobie krew męczennika Kastula, a zawieszona na jej piersi; to Irena zawiesiła cudnie przystrojonej

oblubienicy świętą relikwię, jako ostatni i najcenniejszy podarek ślubny.

Z wszystkich stron ofiarowano podarki ślubne; nawet biedna Rustyka przybyła z upominkiem. Rufinus wróciwszy do pałacu, chciał im to sowicie wynagrodzić, lecz oni nie chcieli przyjąć żadnej zapłaty. Gdy przybyli z upominkiem, ofiarowali także swój podarek, biedny wprawdzie, ale może zawierający nagłębszą myśl: prostą czarkę szklaną; na dnie znajdował się złotem ryty obraz nowożeńców przed ołtarzem, ponadtem wieniec zwycięski, a na około napis:

Vivatis in Deo! — Żyjcie w Bogu!

KONIEC.

WIEŚĆ Z OJCZYZNY.

Ustęp z powieści Sybirskiej przez Kornela Ujejskiego.

Siedziałem w Permie rok jeden i drugi,
A powiem tobie, czas mi nie był długi;
Bo w ciemną otchłań za mną, za wygnańcem,
Pobożna żona poszła z dobrej woli,
I przed cierpieniem stanęła mi szańcem,
I weseliła jak na własnej roli.
A żony takie li w Polsce się rodzą!
Piękne, a więdnąć przeznaczone młodo,
Nie jedne w Sybir za mężami chodzą,
A nieraz z sobą i dziateczki wiodą,
By w obcej ziemi być ojczyzny echem
Swoją miłością i dzieci uśmiechem.

Ulicą długą, szeroką, samotną,
Stały mieszkania więźniów, chaty nizkie;
A były okna ich tak ziemi blizkie,
Że całe światło zabierał przechodzień
Jeśli szedł ścieżką mniej od drogi błotną.
W takich to chatach, zwykle w innej codzień,
Bywało wszyscy schodzim się z wieczora,
I jak bociany gwarzym na obłogu.
A gdy nadejdzie rozejścia się pora,
To długo jeszcze stoimy na progu,
Patrzący w niebo szklane, wyiskrzone,
I pochyleni nad głowami dziatek
Wołamy głucho: Polsko nasza, Polsko!
I z tem imieniem usypiają one,
Ochrzczone wiarą ojców, łzami matek.

Wygnanie nasze było apostolską
Misyą; tam ludzie stawali się lepsi
I sercem czulsi i na duchu krzepsi,
Kędy my przeszli.

Raz siedząc przy oknie,
Puszczałem myśli po tem czarnem włóknie,
Które prząść umie więzień i wygnaniec —
A wtem idący jakiś obszarpaniec,
Sołdat moskiewski, ten Job bez narodu,
Co na wystawie lub na carskiej mustrze
W niezwykłym musi okazać się lustrze,
A wiedzie życie nędzy, wzgardy, głodu:
Popatrzył na mnie, nagle się obrócił
I w koło okiem niespokojnie rzucił
I wbiegł do chaty. We drzwiach stanął prosty,
Pozdrowił Bogiem i wpycha w zanadrze
Rękę skostniałą; na ten ruch ja zadrżę,
Po mojej żonie uderzyły osty,
Sądzimy, że to posłannik z ukazem;
A on ze szmaty rozwinąwszy pakiet
Cicho przemawia: »Wot pismo i grosze
Z Polszczy od waszej matuszki przynoszę«;
Więc głośnym krzykiem odetchniemy razem
I do Moskala biegniem pędem rakiet.
A gdy ze łzami porwę go w ramiona,
Na czole złożę bratni pocałunek,
To biedny sołdat drży u mego łona,
Chwieje się, jakby rozmarzył go trunek,
Jakby go olśnił jakiś świat nieznany,
Jak na obrazie piękny, malowany;
Aż mu wypadnie z zamglonego oka
Łza dawna, ciężka, wyrwana z głęboka,
Wtedy to oko tak świetnie się żarzy,
Że on widomie pięknieje na twarzy.
Biedny! mil tysiąc niósł cudze pieniądze,
Głodny, a zwalczał kuszące go żądze,
Przecież o takiem nie marzył przyjęciu.
Niewolnik, wbity w rygor obelżywy,
Choć pełnił cnotę, nie wie, że cnotliwy —
Toż wyszlachetniał tak w polskiem objęciu
Że wszedł jak zwierzę, a wyszedł jak człowiek,
Poważny, śmiały, z pełną w sobie duszą,
Zdybując ludzi już nie spuszczał powiek,
Lecz wznosił głowę, jakby mówiąc chrobrze:
Wbrew carskiej woli — uczyniłem dobrze!

OSTATNI CHAN.

Między morzem Kaspijskiem, jeziorem Aralu i stokami Afgańskich gór rozciąga się olbrzymia płaszczyzna zwana niskim Turkestanem. Północną jego granicę stanowią stepy Kirgiskie od dawna już podległe Rosyi, sercem zaś całego kraju jest Chiwa, dziś nędzna mieścina, do niedawna stolica niepodległych Chanów, z których gasnącą potęgą i miasto niegdyś kwitnące, już od końca zeszłego wieku do obecnego upadku się chyliło.

Zarodek śmierci tkwiący we wszystkich państwach muzułmańskiego świata i tam rozprzęgł był żelazną spoistość dziedzictwa wielkiego Timura i strasznego Dżyngishana, którego nazwisko samo taki wzbudzało postrach, że posłowie jego na sąsiednich dworach od panujących odbierali pokłady.

Lud popadł w gnuśność; zamiast wielkich wojennych wypraw trudnił się zbójecką partyzantką w perskie lub rosyjskie dziedziny cofając się z łupem w pustynię gdy regularne siły wroga spieszyły ku obronie granicy. Chanowie sami mało kiedy ruszali się ze swej stolicy i pomimo tak potężnych sąsiadów, jak szczególniej Rosya, nie wiele troszczyli się o utrzymanie z nimi dobrych stósunków. Ufali w położenie geograficzne swego kraju, żyznej oazy nad obu brzegami Amu Daryi, starożytnego Oxusu, otoczonej od północy, zachodu i południa dziką i bezwodną pustynią, około 200 mil szeroką.

Ufność ta jeszcze ich nigdy nie była zawiodła. Ile razy nieprzyjacielskie szyki zapuszczały się w te słońcem spalone piaski, tyle razy ginęły z trudów i z pragnienia, a bielące się kościotrupy wzdłuż pustynnych szlaków służyły za straszną przestrogę tym, którzy ponowne ze słońcem i piaskiem próbowali zapasy.

Po śmierci stryja swego Mahometa Emina, wstąpił w roku 1856 na tron swych przodków Seid Mahomet. Nowy Chan wysłał poselstwo do Rosyi z notyfikacyą swego objęcia rządów i wyrazem kondolencyi z powodu śmierci cara Mikołaja I-go. Jako odpowiedź na ten akt międzynarodowej grzeczności, wydelegował Aleksander II-gi również posłów, którzy wyruszywszy na wiosnę r. 1858 z Orenburga, zaopatrzeni w liczne wielbłądy niosące wory skórzane z wodą, dotarli po długiej i uciążliwej podróży w tym samym roku do Chiwy, gdzie zostali z wielkimi honorami przyjęci. Stósunki z Rosyą zdawały się na długi czas przyjaźnie ustalone. Tak przynajmniej rozumowano w Petersburgu, licząc na pomoc i przyjaźń Chana w razie wojny z Persyą. Chan także uważał się za sprzymierzeńca rosyjskiego, co jednakże nie przeszkadzało mu bynajmniej w wysyłaniu zbójeckich wypraw aż w głąb rosyjskiego terytoryum. Trochę rozboju, nie naruszało w jego zrozumieniu przyjacielskich stósunków, a okoliczność, że pustyni się nie bali obznajomieni z nią jego Kirgizi, a że ścigać ich w niej nie mogli nauczeni poprzedniemi doświadczeniami Moskale, utwierdzała go w przekonaniu, że wszystko mu wolno i że przymierze z nim zawsze Moskalom pozostanie cenne.

To też z roku na rok mnożyły się rozboje. W latach 1869 i 1870 doszły one do największych rozmiarów, a w chwili gdy na dalekim zachodzie odgrywał się krwawy dramat francuzko-pruski, o którego najdrobniejszych szczegółach drut telegraficzny po całym cywilizowanym świecie roznosił wiadomości, działy się nad brzegami Syr Daryi sceny mniej rozgłośne, ale krwawsze jeszcze i straszniejsze, sceny, które nam Polakom z przeszłości Podola i Ukrainy aż nadto dobrze są znane.

Wśród nocnej ciszy rozlegało się nagle w rosyjskich osadach dzikie wycie Turkiestańców, chaty stawały w płomieniach, broniących się mordowano w okrutny sposób rozpruwając im brzuchy, ścinając głowy, kobiety i dzieci brano w niewolę i gdy ranek nadszedł, z kwi-



POD KRZYŻEM.

tnącego wczoraj sioła pozostawała kupa zgliszczów, a na horyzoncie wznosił się tuman kurzu zwiastujący, w którą stronę uciekli najeźdzcy. Położenie nadgranicznych prowincyi stawało się coraz niebezpieczniejszem, wartość ich coraz bardziej zagadkową. Wreszcie postanowiono temu stanowi rzeczy położyć koniec; wyprawa na Chiwę została zdecydowaną. Dobry jej rezultat od dwóch zależał czynników, od wyboru wodza i od materyalnych przygotowań niesłychanie ważnych w obec przedsięwzięcia, którego się najdoświadczeńsi rosyjscy generałowie wachali podjąć.

Na wodza powołano generała Kaufmana gubernatora rosyjskiego Turkestanu, który niejednokrotnie złożył był dowody swej znajomości tamtejszych okolic na czele mniejszych wypraw uskutecznianych w sąsiednie Chanaty.

Wkrótce też rozpoczęto przygotowania na których upłynął koniec r. 1872 i początek roku następnego. Wreszcie wszystko było gotowe, wielbłądów dostateczna ilość nagromadzona; żywność w odpowiednio zbudowanych wozach zabezpieczała wojsko od głodu. Wodę niosły wielbłądy. W pierwszych dniach Marca 1873 roku rozpoczęto marsz w dwóch kolumnach. Pierwsza wyruszyła z Kazalińska pod wodzą W. Ks. Mikołaja Konstantynowicza w kierunku wschodnio-południowym, druga trzymając się bliżej brzegów jeziora Aralskiego dążyła wprost na południe ku Chiwie.

Choć jeszcze do właściwego lata było daleko, gorąca panowały dotkliwe. W nocy za to bywały tak silne przymrózki, że cała pustynia była biała od szronu. Marsz jednak odbywał się bez przeszkód. Około Wielkiejnocy odbyto prawie połowę drogi, nie straciwszy prawie nikogo z ludzi.

Tymczasem wrzało i kipiało w Chiwie. Chan, który dowiedziawszy się o wyprawie moskiewskiej ku swym państwom początkowo śmiał się i nawet zbrojeń żadnych nie nakazał, pewny, że nikt pustyni bezkarnie przebyć nie zdoła, teraz się uląkł. Rozwinięto wielką chańską chorągiew przed pałacem na znak wojny, Mollachowie z meczetów rozpoczęli zwoływać wiernych do świętej walki, z pałacu chana pomknęły gońce do wszystkich koczowniczych plemion z rozkazem natychmiastowego zebrania się w dwóch oznaczonych punktach naprzeciw dwom kolumnom rosyjskim.

Muzułmanin leniwy jest i ociężały w życiu codziennem. Natomiast gdy zabrzmi odgłos surmy wojennej, zapomina o wszystkiem, rzuca żony i dzieci a do boju rwie się jak do tańca.

W aułach i siołach zabłysnęły na kopcach mogilnych, radosne ognie, wojownicy bez długich przygotowań chwycili za broń, dosiedli koni i wkrótce zaroiły się szlaki stepowe od długich szeregów tej wybornej jazdy tatarskiej o której pisarz rosyjski Zubrów mówi, że nie ma sobie równej na świecie.

Konnicy tej przeznaczeniem było niepokoić wroga odcinając mu furgony i zasypując studnie pustynne. Główną siłę swego regularnego wojska złożonego również przeważnie z kawaleryi, koncentrował Chan w koło Chiwy czekając na dalsze wiadomości. Jakoż z razu nadchodziły one korzystne. Wojska rosyjskie po dłuższym odpoczynku rozpoczęły na nowo swój marsz naprzód. Teraz już znajdowały się w pełnej pustyni. W piasku przesiąkniętym solą grzęzły wozy, z trudnością szły naprzód konie i ciężkie objuczone wielbłądy. Skwary nastały okropne. Ciepłą wodę z worów skórzanych pito chciwie, ale przesiąknięta była ona smakiem skóry tak, że po wypiciu zapadali żołnierze na boleści i kurcze żołądka. Gorzej jeszcze stało się po rozłączeniu się oddziałów. Niekończący się tabor utrudniał ciągle pochód. Niebawem zaczęły padać wielbłądy. Wory z wodą musiano zostawiać za sobą. Ale nikt nie myślał o odwrocie, bo odwrót ten był już niemożliwym. Trzeba było iść naprzód i albo zginąć, albo zwyciężyć.

(Dokończenie nastąpi.)

JAKÓB BOJKO,

POSEŁ DO AUSTRYACKIEGO PARLAMENTU.

W ostatnich latach zasłynął w Galicyi chłop, Jakób Bojko z Gręboszewa. Przy wyborach do sejmu krajowego wybrali go bracia chłopi posłem, a przy wyborach do rady państwa czyli parlamentu wysłali go wyborcy włościańscy jako posła do Wiednia. Tak tedy włościanin, posiadający nie całe trzy morgi gruntu na własność, który nigdy wyższych szkół nie odwiedzał, zajął najzaszczytniejsze stanowisko obywatelskie.

Jakim to sposobem i przez co się stało, że z pomiędzy setek tysięcy włościan galicyjskich, on i jeszcze kilku innych chłopów wyniesionych zostało zaufaniem współbraci do sprawowania takiego dostojeństwa a zarazem do pełnienia tak wielkiego obowiązku? Nie czem innem, jak oświatą. Oświata zrobiła Bojkę tem, czem dzisiaj jest.

Śledźmy to, a przedewszystkiem niech śledzą włościanie nasi, w życiorysie Bojki. Pisze on sam o sobie, co następuje:

»Skończyłem dwie klasy szkółki ludowej w Gręboszewie, a utraciwszy wcześnie ojca i matkę, zmuszony byłem pójść w służbę do chłopów i gdzie mogłem. Chęć do czytania odziedziczyłem po ojcu, który, za pługiem chodząc, nauczył się czytać i mnie, póki żył, pchał do tego. Długi czas odczuwałem wielki brak książek, stare szpargały zdobywałem zkąd było można. Na odpuście w Gręboszowie wygłosiłem przed gośćmi organisty wiersz »Bitwa pod Grochowem«, za co goście ci złożyli mi 2 złr. Kupiłem sobie za nie »Chatę« i »Nowiny« — i to był początek mej oświaty.

Chcąc poznać kraj ojczysty, trzy razy udawałem się do Gdańska, zwiedziłem też Częstochowę, Wiślicę, Podhorce i Olesko. W ogóle do podróży pociąg mam ogromny, kształcą mię one i interesują ogromnie.«...

Oczytany już i obeznany ze światem, młody włościanin zajął listami swymi i korespondencyami redakcyę krakowskiego »Polskiego Ludu«, która wysłała go, wraz z kilku innymi zdolniejszymi krakusami na wystawę do Pragi. W parę lat później zwiedził też Wielkopolskę, w przeszłym zaś roku, dzięki rodakowi naszemu, p. Bukowskiemu ze Stockholmu, zrobił wraz z posłem Wójcikiem wycieczkę do Szwajcaryi, a mianowicie na uroczystość Kościuszkowską do Rapperswylu, gdzie ich też wybrano na członków zarządu.

Wrażeniami swemi ze wszystkich tych podróży dzielił się zwykle p. Bojko najprzód z czytelnikami »Polskiego Ludu«, a następnie lwowskiego »Przyjaciela Ludu«. Przed podróżami i w przerwach pomiędzy niemi musiał pracować bardzo ciężko na siebie i rodzinę. Od 1875 do 1887 uczy zimą dzieci w trzech gminach sąsiednich, za co dostaje po kilkanaście reńskich — za całą zimę. Następnie sprawuje urząd pisarza, tak samo w kilku gminach jednocześnie. Pięć czy sześć lat temu zostaje wybrany wójtem we wsi swojej rodzinnej i członkiem Rady powiatowej, wreszcie półtora roku temu wchodzi jako poseł do Sejmu krajowego.

Słuchając przemówień J. Bojki, czytając liczne artykuły jego, dawniejsze i nowsze, zastanawiając się nad rozmaitymi rodzajem i wrażeń jego w listach z podróży, musimy przyjść do przekonania, że chociaż bierze on bardzo czynny udział w polityce i agitacyach swego stronnictwa, chociaż rozgoryczenie względem przeciwników zatruwa nieraz jego duszę, to jednak przemijające, okolicznościowe żale i pragnienia nie zagłuszają głównych trosk jego duchownych, to jest: dążenia do sprawiedliwości ogólnej, do zasad wiecznotrwałych. Dziedzina uczucia rozparła się w nim tak szeroko, że ozłociła mu całą przyszłość narodową, nieraz tak ciężką dla chłopa, i wlała weń głęboką wiarę w wielką, dobrą i sprawiedliwą

przyszłość. Dumając pod Mysią wieżą w Kruszwicy i przypominając sobie rozmaite bóle i rozterki partyj galicyjskich, powiada: »Możeby im duch Piasta przypomniał, że nie zbłądziła Polska, gdy się oparła niegdyś na chłopie, a przeciwnie — poszła w służbę do obcych, kiedy lud odrzucono od wszelkiego udziału w życiu publicznem.«

W historyi Bojko ogromnie jest rozmiłowany; zna ją doskonale z dzieł przeróżnych i z całą bezpośredniością swej natury obcuje z nią nieustannie jak z żywą, a mądrą nauczycielką teraźniejszości i przyszłości ojczystej. Jędrne, a malownicze listy i przemówienia jego pełne są zwrotów historycznych; przyswoił on sobie zresztą i ogólne wykształcenie literackie.

Niech włościanie polscy patrząc na to, jak oświata brata ich wysoko wyniosła, pokochają ją szczerze, bo przez oświatę droga do dobrobytu i do wolności.

KNIAŹ OSTROGSKI.

LEGENDA HISTORYCZNA.

Za czasów Zygmunta Starego żył Konstantyn Ostrogski. Kto on był, jaki jego żywot i sprawy, o tem obszernie historya powiada: Od młodocianych lat, aż do późnej starości, zawsze na koniu z szablą w ręku, uganiał się z nieprzyjacioły, a hetmaniąc dzielnym rotom, nie żałował swojej krwi. To też ranami okryty, miłością całego narodu, przyjaźnią króla uczczony, umarł w późnym wieku. Trzydzieści trzy bitew stoczył, a z tych dwie tylko przegrał; to też imię jego było za życia i po śmierci głośne, i każdy miał przed nim uszanowanie, bo to był człowiek, który dni swoje poświęcił dla Ojczyzny.

Wnuk hetmana Ostrogskiego ochrzcony na pamiątkę dziada tem samem imieniem, wcześnie sam sobie był oddany. Odumarli go rodzice, nie dbali o niego opiekunowie, a młody Konstanty ujrzawszy się panem niezmiernego majątku, zapomniał, co Bogu, ludziom i sobie samemu był winien i otoczywszy się zgrają młodych i starych rozpustników, pędził życie na hulance. W zamku Ostrogu zmieniły się obyczaje, mchem porosły mury, na które niegdyś zataczano działa i stawiano straże przeciw nieprzyjaciołom, rozpuszczono roty kozaków, z któremi śp. hetman wyjeżdżał na wojnę, pordzewiały szable rozrzucane w nieładzie w zbrojowni, a za to w zamku huczno było od dnia do dnia i wesoło, grzmiała weselna muzyka, brzęczały kielichy, kurzyły się misy z wymyślnemi potrawy i z pośród murów, które dawniej tylko szczęk zbrojowy i psalmy Dawida zwykły były słyszeć, rozchodziły się śpiewy rozpustne poczciwym ludziom na zgorszenie.

Był kraj nieraz w potrzebie, podupadł sąsiad z ojcami zażyły, spaliły się chaty włościańskie, nachylił się dom Boży. Pan Konstanty choć możny i wielkiego majątku dziedzic, nie wiedział, nie słyszał o niczem. Upominano, przedstawiano napróżno, ofuknął się tylko płochy młokos, a nie chcąc przyznać, jakoby te przestrogi robiły na nim wrażenie, tracił czas, siły i majątek. Miał zaś wtedy 18 lat życia.

Jednej nocy pił mniej jak zazwyczaj, śmiał się nie tak serdecznie, nudziły go żarty towarzyszy, zabawy, i nie wiedząc jak odpędzić zły chumor, poszedł do alkierza. W alkierzu jego wisiał portret ś. p. hetmana, spojrzał na niego Konstanty, ale markotny spuścił wnet oczy i rzucił się na łoże. Wkrótce zasnął.

W nocy śni mu się, iż obraz poczyna się ruszać i hetman z niego zstępuje. Wolnym krokiem przychodzi do śpiącego i wzrokiem mocnym uderza, jakby go chciał obudzić. Ze strachem

spojrzał na niego Konstanty, twarz hetmana jeszcze surowszego wyrazu nabrała. Czego chcesz odemnie? zawołał młodzieniec. Milczał starzec, tylko wzrokiem i postawą groził. Powiedz czego chcesz? błagalnie zawoła znów wnuk. Nie godzieneś ze mną mówić, upamiętaj się, wyrzekł hetman strasznym głosem, tak, że się młodzieniec ze snu ocucił.

Zerwał się z łoża, noc była ciemna, lampa świeciła przed obrazem. Z nieśmiałością spojrzał na obraz, zdawało mu się, że na twarzy hetmana pozostała taż sama groźba, którą we śnie widział. Nie mógł znieść jego wzroku, ucieka ze sypialnego pokoju do izby biesiadniej. Tam dopalają się lampy, biesiadnicy spojeni leżą przy stołach, powywracane krzesła, a z porozbijanych butelek po podłodze ciecze wino. Pierwszy raz uczuł jakiś wstręt na ten widok rozpusty; bo może po raz pierwszy był trzeźwy między pijanymi. W myśli tkwiły mu groźne rysy dziada, grzmiały surowe słowa: upamiętaj się, niegodzieneś ze mną mówić, przed oczami zaś widział tych ludzi, z którymi pędził życie, z którymi się ściskał i ucztował dnie całe.

Ciężko mu przeszła noc, nareszcie przed ranem usnął. Dziwne miał sny, które go jeszcze bardziej zmęczyły, tak, że wstał kiedy już słońce było wysoko na niebie, a zdziwieni towarzysze czekali nań z niecierpliwością, a chcąc po dawnemu dzień rozpocząć od biesiady; gdy go ujrzeli, uderzyła wszystkich nadzwyczajna bladość i ponury wyraz twarzy. Nie chciał się tłumaczyć Konstanty, unikał odpowiedzi, wymawiał się słabością, ale humor jego był zanadto zmieniony, ażeby towarzysze nie odgadli, że coś ważniejszego stać się musiało. Nacierali na niego tem mocniej, dopóki im wszystkiego nie opowiedział.

— Sen mara, krzyknęli wszyscy, śmiejąc się do rozpuku. Ot cobyś uważał na takie dziecińśtwa, do ciebie panie Konstanty.

— Nie, to nie dziecińśtwo, — zawołał młody, — na własne oczy widziałem, jak się obraz ruszał.

— Byłeś rozespany, śniły ci się marne rzeczy, nie chciałeś wczoraj bawić się z nami i tak ci się uwidziało.

— Dalibóg panie Konstanty, — zawoła drugi, — wybij sobie to z głowy, bo się jeszcze rozchorujesz. Patrzajcie jak on się zmienił. Prawda, jak pobladł, krzyknęli, panie Konstanty, co tobie?

Zniecierpliwiły te pytania młodego, chciał wyjść z pokoju. Obstąpili go znowu, zaczęto ściskać, całować, zaklinać w imię przyjaźni, w imię wesołości. Wypił jeden kielich Konstanty, raźniej mu się zrobiło, wypił drugi, wkrótce ustąpiły z myśli czarne wspomnienia, apetyt i dobra przekąska dodały humoru i w kilka godzin młody dziedzic weselszym był niż kiedykolwiek.

Źle się stało, że tak prędko dał w sobie zagłuszyć głos opiekuńczy, który go doszedł z nieba, źle się stało; bo młody Konstanty znalazł karę w własnem życiu. Po dawnemu wróciły się tańce i biesiady, po dawnemu zamczysko jego, niegdyś siedziba starych cnót, stało się ludziom zgorszeniem.

Upływał dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, upływały i lata po latach, a nic się na zamczysku Ostrogskiem nie zmieniało. Tylko sąsiedzi ze wzgardą i oburzeniem odwracali oczy, pobożny wieśniak mijał bramy bojąc się rozpustnej służby zamkowej, na podwoje grodu nie miał po co zachodzić kapłan Boży. Mimo to nie brakowało towarzyszy panu Konstantemu; bo nie brakowało mu dostatków, ale ubywało powoli sił i zdrowia. Jakaś nuda, przesyt, niesmak coraz częściej zasępiały mu duszę, zmarszczały bladą i zmęczoną twarz. Czuł, że nie takby żyć powinien, a innej drogi przed sobą nie widział, wreszcie nie staćby go już było na odmianę.

Ale co jest niepodobnem w ręku ludzi, łatwem jest dla Boga. Odwróciły się wszystkie twarze od Konstantego, ale nie wyschło źródło miłosierdzia. Przed tronem Najwyższego klęczał snać hetman, modląc się do Pana, by dał wnukowi jego upamiętanie. Gorące modły wysłuchał Bóg i staremu hetmanowi dał moc zstąpienia na ziemię.

Upłynęło już od pierwszego widzenia lat dwanaście. Podobnie jak pierwszą razą, noc była głucha i ciemna, Konstanty spał na łożu niespokojnie, wzdychając ciężko i odganiając od siebie mary. Nagle spostrzega znowu obraz swojego dziada, który od dawna z alkierza wyrzucił. Wpatruje się w niego; postawa hetmana poczyna przybierać wyraźniejsze formy, występują mocniej rysy twarzy, nogi, ręce, głowa, cała postać stopniowo uwalnia się z płótna i starzec zstępuje na ziemię.

Zadrzał, pobladł Konstanty, stłumił w sobie oddech, chciał się odwrócić, ale nie mógł, chciał oczy zamknąć, ale choć obie ręce przyciskał, zdawało mu się, że tem mocniej groźną postać dziada wtłacza w myśl. Powstał więc z łoża, starzec był tuż przy nim.

— Jakżeś mnie usłuchał Konstanty, — rzecze starzec.

Zamarł głos w piersiach młodemu, silił się, by coś przemówić, ale nie mógł; jakąś nadludzką mocą zgięty upadł na kolana i wbił czoło w ziemię.

— Przebrałeś miarę miłosierdzia Pana, ale modły moje wyjednały ci czas ostatniej próby. Za trzy lata umrzesz.

— Panie, — jęknął młody i gdy się podniósł, zniknął starzec, a Konstanty ocucony, oblany zimnym potem, strachem i boleścią zdjęty, ujrzał się klęczący i nachylony w tę stronę, gdzie dawniej wisiał obraz. Cicho było wszędzie, z pobliskiej sali dochodziło tylko jego uszu chrapanie pijanych biesiadników, ale w jego uszach brzmiały tylko te trzy straszne słowa. Za trzy lata umrzesz.

Nie było próżnem powtórne ostrzeżenie. Mimo lat strawionych bezbożnie, zostały się jeszcze w sercu Konstantego poczciwe zasady. Powtórny cud, o którego rzeczywistości nie mógł już wątpić, wstrząsnął całem jego jestestwem, natchnął siłą, owionął jakąś świętością celu i dążenia i uczynił niezłomnym w obec szyderstw swoich towarzyszy, w obec pokusy złego, w obec nałogów i przywar z przeszłości wyniesionych.



JAKÓB BOJKO. (Obacz artykuł na str. 666).

Dawni towarzysze rozpusty poznali wnet, że wszystkie ich zabiegi nie przydadzą się na nic, opuścili więc po jednemu włości Konstantego; ucichł zamek Ostroga, bo dziedzic jego zamykał się w sobie, wiodąc życie na modłach,

w poście, umartwieniu ciała i rozpamiętywaniu. Pokrzepioną pracą ducha rozpoczął życie czynniejsze, a że właśnie rzecz pospolita narażona była na wojnę z Turkami, zastawił połowę swych majętności i uformowawszy dwie chorągwie, poszedł na wojnę jako prosty żołnierz.

Wrócił kilkakroć raniony, a choć dotknięty niemocą ciała, nie spoczął duchem. Jak pierwej niedbałym był o los kmiotków, nieczułym na nieszczęścia sąsiadów, obojętnym o chwałę Bożą, tak teraz pilnie się krzątał koło wszystkiego, co wchodzi w zakres powinności prawego obywatela. Dziwowali się ludzie, sławili dobrego pana, ale on unikał pochwał i dziękczynień, a szukał nowego pola dobrego czynienia, jakby ilością pięknych postępków, szeregiem ofiary, trudów i poświęcenia chciał oczyścić skalaną przeszłość.

Wśród takiego życia czynnego i świętobliwego, wśród modłów i usług dla bliźnich, upłynęło Konstantemu lat trzy. Pewnego wieczora uczuł się słabym, odmówiwszy pacierze, położył się wcześniej i usnął. W nocy przyszło znów po raz trzeci widzenie, ale jakieś było odmienne od przeszłych. Nie lękał się też go Konstanty i wyciągnął ręce przed starcem, którego twarz jaśniała świętą powagą a oczy błyskały radością.

— Wysłuchał Pan moich modłów, — wyrzekł powolnie hetman, — dziękuję ci mój wnuku, a w nagrodę twej poprawy oznajmiam, iż przepuszczone są twoje winy i otwarte podwoje niebios. Jutro przyjdę po ciebie.

Zniknął starzec a Konstanty obudziwszy się, posłał po czcigodnego proboszcza, któremu wszystkie trzy widzenia opowiedział. Uznał kapłan w sprawie tej palec Boży i na pobożnej rozmowie i modłach spędził z chorym aż do rana.

Choroba postępowała szybko, a czynny duch Konstantego chcąc ją wyprzedzić, spieszył się z objawieniem swej ostatniej woli, wynurzał kapłanowi pobożne zamysły, których nadchodząca śmierć nie dozwalała wykonać, objaśniał ze stanem majątku, część jego przeznaczył na kościół, część poświęcił sprawom publicznym, a resztę jako bezdzietny kazał rozdać między ubogich i na miłosierne cele przeznaczył.

Uprzątnąwszy się ze wszystkiem, co po nim na tym świecie zostawało, nie przepomniawszy o żadnym słudze i domowniku, o żadnej wdowie i sierocie, które jego hojna ręka utrzymywała, poczuł iż go opuszczają siły ciała. Wzniósł więc ducha ku Bogu i tem goręciej począł się modlić. Zbliżało się południe; łoże otoczyła wierna czeladź, kapłan siedział przy łożu, a chory przyjąwszy ostatnie Sakramenta w radosnem upojeniu, zdawał się oczekiwać chwili skonu. Na twarzy jego bladej rozlał się wyraz pokoju, snać, że w tem ciele była dusza gotowa stanąć przed Panem. Uśmiech sprawiedliwego głuszył cierpienia ciała, a oczy pełne zachwytu wzniósł w górę, jakby się spodziewał ujrzeć posłańca niebieskiego, któryby ducha jego zaniósł przed tron Przedwiecznego.

Trwało to czas niejaki, kiedy naraz wśród jasnego dnia, jakieś złote światło rozlało się po niebie. Z podwórza doszedł głos podziwienia i trwogi, bo ujrzano po nad zamkiem postać człowieka klęczącego, od którego rozchodziła się owa promienna światłość. Byłto dziad konającego, któremu Bóg dozwolił towarzyszyć wnukowi z tej ostatniej wędrówki. Starzec siwy jako gołąb, w śnieżnym stroju, otoczony wieńcem gwiazd i złotą przejrzyszą mgłą, klęczał w powietrzu nad omszałem grodem i złożywszy sędziwe ręce, modlił się do Boga. W tej samej chwili na twarzy konającego zabłysła radość niebieska, westchnął po raz ostatni i dusza jego połączyła się tym, który był stróżem jego żywota.

Ze świata legend i baśni.

(Ciąg dalszy.)

I ogień jest święty...

Zacząwszy od Indów, Egipcyan, Staropersów, aż do wszystkich ludów europejskich, wszędzie ogień był przedmiotem boskiej cześci. U Scytów n. p. oprócz czci ognia spotykamy przysięgę, wykonywaną na »ognie królewskie«, którą tylko w ważnych nader wypadkach odbierano. Wykroczenie zaś przeciwko ogniowi świętemu, albo krzywoprzysięztwo na ognie królewskie, strasznej podlegało karze. Ogień pochodzi w prostej linii od praboga niebios — widzimy to na nieszczęśliwym Prometeuszu, widzimy i na Swarożyczu. Swarożycz bowiem czyli bóg-ogień, pochodzi od Dażboga słońca, będącego synem wszechpotężnego Swaroga, władcy niebios słowiańskich, jak Jowisz helleński.

To też lud wiernie się trzyma odwiecznej mitologicznej tradycyi. Niedość, że dawniej palił ognie święte i dzisiaj jeszcze roznieca w pewnych czasach roku na polach płomienie. W pojęciu pieśni i podania ogień po dziś dzień jest świętym, nie godzi się też na niego plwać, rzucać nieczystości, ani też jakimkolwiek sposobem obrażać. Może on ukarać człowieka, kiedy mu przyjdzie ochota — nie nadużywa jednak swojej władzy, jako szlachetne i świętego pochodzenia dziecię. Według przesądu ludowego nie należy sprzeciwiać się w czemkolwiek ogniowi, dom n. p. niech się od pioruna zapali, nie można go ratować, Boży ogień upodobał go sobie, zatem byłoby wielkim grzechem robić mu na przekór ratowaniem palącego się budynku.

Co jednak najważniejsze, to, że ogień przedstawi się w życiu poezyi i podań, jako siła, oczyszczająca świat z zepsucia. Podobnie tu jak i w pojęciach chrześciańskich duchy dla oczyszczenia się z grzechów przechodzą przez ogień czyśćcowy, zanim dostąpią niebieskiego szczęścia. Palenie n. p. umarłych w czasie słowiańskiego pogaństwa nie było niczem innem, jak oczyszczeniem niebożczyka z grzechów przez siłę ognia świętego.

Tak wyglądają ciała niebieskie i żywioły natury, w najogólniejszym charakterze pojęte na podstawie podań i pieśni ludowych. Bądź co bądź nie może tu nikt zaprzeczyć utajonych filozoficznych myśli pod zasłoną najprostszych, często lekceważonych »bajek«, jak je zwykle zowiemy. Aby jednak uwydatnić sobie jasno całą filozofię pieśni i podań ludowych, rozpatrzymy pobieżnie inny ważny temat, uchwycony w nasze zabytki literatury ludu. Tematem tym jest ustawiczna walka dwu przeciwnych sobie żywiołów — światła i ciemności, życia i śmierci.

Umysł ludzki nigdy nie poprzestaje na połowicznem pojęciu zjawiska, ale zawsze, jeżeli go nie zrozumie należycie, stwarza sobie pewną formę, pewne wyobrażenie, które zaspakaja jego ciekawość, rozwiązując zagadnienie; naturalną więc rzeczą, że człowiek pierwotny, na niskim stopniu cywilizacyjnym zostający, cały proces życia i równowagi porządku świata, uosobił w dwóch wrogich wobec siebie pojęciach, z których jedno wyobraził jako siłę dobrą, twórczą i życzliwą, opiekującą się dobrem całego świata, a drugą jako niweczącą wszystko, co napotka przed sobą... Siły owe w wiecznej walce ze sobą zostawały — co jedna stworzyła, druga zniszczyła zaraz. Była przeto jedna złym a druga dobrym pierwiastkiem.

Prostem następstwem tego wyobrażenia było pojęcie b i a ł e g o i c z a r n e g o b o g a, przyjaznych człowiekowi i nienawistnych duchów. Jakoż podania naszego ludu, jego pieśni i obrzędy, przesądy i zabobony są dzisiaj najlepszem świadectwem tej wiary w białego i czarnego boga na ziemiach Polski i całej słowiańszczyzny. Pomijając bowiem już kronikarskie świadectwa, mó-

wiące o czarnym bogu słowiańszczyzny pogańskiej, nie zastanawiając się bliżej nad Światowidem, Dażbogiem, Perkunem, Jarowitem i t. p. bożyszczach, mających cechy dobrego, jasnego bóstwa, nie zatrzymując się wreszcie nad wielu zabytkami stwierdzającymi dwoistość bożków słowiańskich, opartą na pierwiastku dobrym i złym — zwracamy uwagę czytelnika, na następujące przykłady podań ludowych, które pomimo że nie mówią wyraźnie o białym i czarnym bogu, przecież wiarę w ich istność dostatecznie stwierdzają.

Mówi tedy podanie ukraińskiego ludu o strasznym żmiju, wyobrażającym tożsamo pojęcie, co sam smok siedmiogłowy i ogniem naokół ziejący; niszczy on wszystko, co tylko życiem obdarzone, pożarł więc wszystkie zwierzęta, wiele ludzi, a w końcu upodobał sobie piękną królewnę. Ojciec rad nie rad musiał dać córkę strasznemu żmijowi na pożarcie, bo i cóż począć, — toż jeszcze nie było na ziemi człowieka, który by się oparł temu potworowi. Stało się jednak inaczej; żmij nie pożarł królewnej, ale się rozkochał szalenie w jej przecudnej urodzie.

Skorzystała królewna z tej okazyi — i kiedy Żmij niecnota pieści się z nią, zapyta go nieznacznie, czy nie ma na świecie człowieka, któryby mu w sile dorównał. Żmij nie spostrzegł się na podstępie, powiedział jej więc, że nad brzegiem Dniepru żyje stary Kiryło, nierównie silniejszy od niego, czego już raz przypadkiem doświadczył.

Królewna usłyszawszy to, pisze zaraz drobny liścik do ojca i posyła przez gołębia. Prosi ona na wszystko, aby wyszukano starego Kiryłę, bo on jedynie pokona Żmija i ją wybawi od śmierci. Spełniono prośbę — znaleziono Kiryłę, który choć dał się długo prosić, przecież poszedł na zabicie Żmija, wziąwszy wielką buławę do ręki, a całego siebie owinąwszy konopiami i oblawszy smołą, żeby go straszna bestya zębami swemi nie dosięgła. Zaczęli się bić. Oto mały epizod tej walki opowiedziany słowami ludu:

— Poczęli się oni bić, tak bić, że aż ziemia pod nimi dudni. Jak rozbiegnie się Żmij, ta uchwyci zębami Kiryła, to tak kawałek smoły i wyrwie; jak rozbiegnie się znowu, to tak kawałek konopi i wyrwie. A Kiryło jak uderzy go swoją ogromną buławą, to tak go w ziemię wbije. A Żmij jak ogień pała, tak mu gorąco. Póki dobiegnie do Dniepru, aby się napić i wskoczy w wodę, żeby się ochłodzić, to Kiryło już się znowu obmotał konopiami i osmolił się smołą. Wyskakuje z wody Żmij i znów pędzi przeciw Kiryłowi, a ten go tylko łup buławą! łup buławą! Rozpędzi się znów i ten, znowu po głowie buławą łup! ta łup! aż łuna rozchodziła się po lesie... Bili się oni, bili, aż kurzy się, aż iskry skaczą. Stuk taki wyprawiali, że powiedziałbyś u kowala w kuźni na wiosnę, kiedy to każdemu potrzebne są sośniki do orania!

Tak wrzała walka bohatera ze Żmijem. Oczywista, że Kiryło zabił strasznego Żmija, przez co królewnę wybawił od śmierci, a okolicę całą uwolnił od klęski. Szanowali też ludzie Kiryła za ten uczynek waleczny.

Zdaje nam się, że sam łaskawy czytelnik po rozważeniu owej opowieści ukraińskiej przyjdzie do wniosku, że nasz sławny smok wawelski, pokonany przez Krakusa, ma wiele podobieństwa do Żmija z nad Dniepru. I rzeczywiście, nietylko że podobieństwo zaraz na pierwszy rzut oka uderza, ale i na myśl zasadnicza jest w nich zawarta jedna i taż sama. Zarówno tam i tu pierwiastek dodatni, człowiek, pokonywa strasznego potwora, który jest upostaciowaniem złego ducha, czarnego boga czyli siły zniszczenia.

Krakus jednakże i smok wawelski uosobiają dwoiste pojęcie z słowiańskiej mitologii, przywiązane tylko do jednego miejsca, mianowicie do Krakowa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 21-go Października 1897. Nr. 42.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Jesień a zdrowie nasze.

(Wedle ks. Kneippa.)

Każda pora roku trwa tylko trzy miesiące; jakże prędko każda z nich przechodzi, zwłaszcza jeśli jest dla człowieka pomyślną, jak wiosna i lato. Wiosnę witamy z radością, ponieważ z każdym dniem widać w przyrodzie więcej życia, każdy zaś dzień jest dłuższy, tak iż dłużej podziwiać możemy przebudzanie się natury; ze smutkiem jednak spoglądamy na jesień, każdy dzień bowiem jest krótszy, a cała przyroda podobna suchotnikowi, który z dniem każdym staje się bledszym i coraz bardziej do grobu się zbliża. Z ustaniem ciepła, z nadejściem krótszych dni, nadchodzi pora mroźna zimna, wiatry i deszcze; zdarzają się też czasami dni ciepłe jak na wiosnę, nie mają one jednak wpływu na całe życie przyrody; podobnie jest czasami lepiej choremu, upadającemu pod brzemieniem cierpienia, tak iż mówi, że jest znów zdrowym zupełnie; trwa to jednak tylko czas krótki.

Wspomniawszy sobie zimę na początku jesieni, zdaje mi się, iż stoję u stóp wysokiej góry, gdzie wszystko jeszcze zielone i piękne, podczas gdy na szczycie zimne widnieją śniegi. Ileż trudności pokonać trzeba, nim się tam dojdzie. Cóż ma uczynić ziemski wędrowiec w jesieni, chcąc się na zimę przysposobić!

Hartowanie ciała w jesieni. Wiosną trzeba się zahartować na lato, w jesieni zaś na zimę. Główną zasadą zahartowania się jest: Zatrzymaj latową suknię jak można najdłużej; ponieważ zaś w jesieni zdarzają się dni łagodne, suknia więc latowa długo wystarczyć może. Trzeba jednak być przygotowanym na zimne dni jesienne i wiedzieć, jak zasłonić ciało przed zbyt nagłą zmianą. Znałem chłopa, który używał latem podartych koszul swych, które zbyt silnie ciała nie okrywały; z nadejściem dni zimnych nakładał mniej znoszone koszule, twierdząc, iż grube płótno jest najlepszą osłoną od zimna dni jesiennych. Znałem dalej robotnika, który niezgorsze roboty w domu i po za domem wykonywał boso: na szyi zawiązywał tylko małą chusteczkę zakrywającą kołnierzyk, dalej nosił dryllichowe spodnie takie same jak latem. Tym sposobem chronił się od złych skutków, które dni jesienne na ciało wywierają. Prawdą jest rzeczywiście: kto długo chodzi boso w jesieni, ten ma zawsze ciepłe nogi, a skoro ma ciepłe nogi, to widać, że posiada dość krwi do ogrzania ciała. Kto ma ciepłe nogi, nie marznie na całem ciele, chociaż nosi latowe suknie. Kto hartuje głowę, szyję i piersi na zimno i nie okrywa ich zbyt wcześnie zimowemi rzeczami, ten się najlepiej zaopatrzył, a zmiana zimna i ciepła w tej porze z pewnością mu nie zaszkodzi. Zmiana bowiem zimna i ciepła hartuje ciało i czyni je wytrzymałem. Doświadczyłem tego przez wiele lat na sobie, zostawiając staranie naturze, i nie potrzebowałem się obawiać nieżytu lub innych cierpień, które zmiana pory roku za sobą pociąga. Zachować trzeba największą ostróżność w późnej jesieni; gdy zima stoi tuż przed drzwiami i gdy zwiastuny jej już w jesieni czuć się dają; nie trzeba tylko zbyt nagle okrywać ciała ciepłemi rzeczami,

Tak jak z ciałem, trzeba też z pomieszkaniem postępować, rozpoczynając jego ogrzewanie. Piec w pokoju jest tem, czem krew w ciele człowieka. Jeśli ciało ma potrzebną zawartość ciepła, nie potrzeba się o szyję, nogi i ręce obawiać, gdyż jeśli krew w ciele dostatecznie ogrzana, ogrzewa ona wtedy wszystkie jego części. Kto zbyt wcze-

śnie zaprzestanie chodzenia boso, a głowę, szyję i piersi zbyt ciepło okrywa, ten z pewnością doprowadzi do rozpieszczenia; wtedy niejako otworzył drzwi wszelkim cierpieniom, które nagła zmiana zimna i ciepła w głowie, szyi i innych częściach ciała spowodować może.

Któreż to są najniebezpieczniejsze skutki? W pierwszym rzędzie nieżyty (katary), które przy rozpieszczeniu z pewnością nas nie ominą, jak nieżyt nosa, gardła, płuc i t. d. Aby się przekonać o tem, owiń twe zahartowane gardło w ciepły, gruby szal, a dostaniesz już po kilku godzinach kataru. Mając odkrytą szyję, nie potrzebujesz się niczego obawiać, chyba, że popełnisz jaką nieostróżność.

Znałem studenta, który miał zawsze szyję i piersi odkryte, nosił bowiem tylko otwartą koszulę; gdy w stolicy nastały zimne dni, przechadzał się po głównej ulicy, aby każdy w Monachium mógł widzieć, iż się zimna nie tylko nie boi, ale mu i czoło stawia. Nie był on wcale silnie zbudowany, raczej chudy, niż otyły, pomimo to nie szłyszałem nigdy, aby mówił, iż skutkiem zimnego monachiskiego powietrza dostał kataru. Na nogach miał obszerne skórzane buty bez szkarpetek, lecz mógł śmiało powiedzieć, iż ciepło mu było bez nich. Gdy trzewiki są duże, tworzy się w nich powietrze ciepłe, nogi zaś mają wygodę. Z ciasnoty krew ucieka, ciepło więc tworzyć się nie może. Tak samo dzieje się tym, którzy zbyt wcześnie noszą rękawiczki. Nie chcę zupełnie odrzucać rękawiczek, twierdzę jednak, iż ci, którzy ich nie noszą, mają zazwyczaj najcieplejsze i najwytrzymalsze na zimno ręce. Kto zawsze nosi rękawiczki, ten ma w zimie ręce lodowato zimne, w lecie zaś także nie ma prawidłowo ciepłych. Ręce jego zawsze wilgotne i nieczyste, brak bowiem tym ścieśnionym częściom parowania i obiegu krwi. Uciekając się podczas silniejszych mrozów do cieplejszych ubrań, trzeba ich tylko używać w miarę wzmagania się zimna. Znałem syna pewnego wieśniaka, który latem nosił słomiany kapelusz, w jesieni i częściowo w zimie pilśniowy, a tylko podczas silnych mrozów futrzaną czapkę. Z ustąpieniem mrozów brał pilśniowy kapelusz, a z nadejściem ciepła słomiany. Trzeba przedewszystkiem starać się w rozsądny sposób przeprowadzić zahartowanie i pozostawić atmosferze główną w tem pracę. Ciało przebywa wtedy z największą łatwością wszystkie pory roku.

Poeta i Prorok.

W r. 1883 jeden z najbardziej znanych poetów w Atenach, Synadinos, wydał zbiór poezyi pod tytułem: »Strzały.« W nim znajduje się poemat nie bardzo długi — dwieście wierszy w przybliżeniu liczy — na który też pewnie w swoim czasie nie zwrócono uwagi. Obecnie wywołuje on podziw, zdumienie w całej Grecyi. Poemat ten zatytułowany jest: »Turcy w Atenach«, a treść jego jest prawdziwie wstrząsającą. Wszystko, co się obecnie dzieje w Grecyi, wojnę ze wszystkiemi okropnościami, przewidział autor »Strzał« lat temu czternaście.

Poeta przepowiedział nawet następstwo tej strasznej wojny. Noc narodowa przyćmi Grecyą, ale z tej nocy powstanie gwiazda dnia, odmłodzenie narodu greckiego, zbawienie. Śnił o tem Synadinos, a dziś w Atenach otwarcie myślą o nauce, jaką wyciągnąć należy z tej wojny i z tych nieszczęść okropnych. — W każdym razie Synadinos okazał się większym prorokiem w tych dwustu wierszach, niż poetą w grubych tomach poezyi, dotąd ogłoszonych.

Drugim prorokiem tej wojny był w r. 1884 pewien profesor teologii na uniwersytecie w Atenach. Zapowiedział ją na rok 1897.

Lecz otóż fakt jeszcze ciekawszy. Powiadają o pewnym Kreteńczyku nazwiskiem Siligardo, rodem z Vyrari w dystrykcie Amorio. Człek ten, liczący dziś 50 lat, wiele i długo podróżował i zna dużo krajów. Wróciwszy na Kretę, zamieszkał w Retymno, gdzie czas spędzał na rybołóstwie. Gdy w roku zeszłym delegowany Kreteńczyków prowadził układy z konsulami państw zagranicznych, Siligardo rzekł poważnie:

Wszystko to zbyteczne; w połowie zimy będziemy mieli nowe powstanie; armia grecka wyląduje na Krecie, lecz nic nie wskóra i wróci zkąd przyszła. Europa nas blokować będzie; wojna wybuchnie pomiędzy Grecyą i Turcyą a Grecya ulegnie. Potem zawartym będzie rozejm, lecz kroki nieprzyjacielskie na nowo się rozpoczną. Turcy zbliżą się do Aten, lecz nie wejdą tam. Pod murami miasta będzie wielka bitwa, w której polegnie jeden z synów króla. Turcy zostaną pobici i wypędzeni z ziemi greckiej. Eskadry europejskie opuszczą Kretę, bo wojna, głód i choroby zaraźliwe zniszczą wyspę. W re-

zultacie Turcy zostaną wypędzeni, lecz za cenę ogromnego przelewu krwi.

Otóż i trzecia część jego proroctw, interesujących już całą Europę: »Wojna grecko-turecka będzie miała za następstwo opanowanie Kontantynopola przez Rosyan. Lecz to nastąpi dopiero po wojnie rosyjsko-austryackiej, której rezultatem będzie upadek Austryi. Wtedy sformuje się koalicya innych wielkich państw, celem wygnania Rosyan z Konstantynopola. Podział Turcyi nastąpi też po tej strasznej wojnie. Grecya i Kreta oddane zostaną pod zależność wielkiego mocarstwa, które powstanie z Konstantynopolem, jako stolicą. Lecz mocarstwo to będzie miało więcej charakter grecki, bo jeden z krwi Paleologów zasiądzie na tronie Bizancyi«. Wreszcie dodaje Siligardo, iż ten przewrót Europy dokona się w roku 1899. Zobaczymy, czy i to się sprawdzi!

Muzyka dzwonów i elektryczność.

Katedra katolicka pod wezwaniam św. Patryka w New Yorku otrzymała w tych dniach wspaniałe nowe dzwony, najwspanialsze w całej Ameryce, a kto wie czy nie doskonalsze od najznakomitszych i największych dzwonów w Europie.

Komplet dzwonów składa się z 19 dzwonów różnej wielkości i formy, tak dobranych pod względem brzmienia, że wspólnie tworzą one jakoby całą orkiestrę lub instrument muzyczny, nadający się do odtwarzania różnych melodyi i całych utworów muzycznych.

Muzyka dzwonów nie jest rzeczą nową. Dawniej uprawiano ją jako sztukę, — w ostatnich zaś czasach zastósowano do niej elektryczność. Na wystawie w r. 1893 w Chicago podziw budziły koncerty dzwonów, wprawianych w ruch przy pomocy elektryczności. Tym razem — w kościele św. Patryka — muzykę dzwonów doprowadzono do prawdziwej doskonałości.

Komplet 19 dzwonów, które już zawisły o 180 stóp nad ziemią w północnej wieży kościoła, jest w stanie odtwarzać najdelikatniejsze odcienia muzyczne i to z taką ścisłością, jak gdyby orkiestra cała była regulowaną przy pomocy kamertonu.

Największy z dzwonów waży 7000 funtów i jest największym dzwonem w całej Ameryce, bo drugi po nim dzwon, w katedrze Najśw. Maryi Panny w Montreal (w Kanadzie) waży tylko 6043 funtów, — najmniejszy dzwonek z kompletu od św. Patryka — istna w porównaniu z tamtym sygnaturka — ma wagę tylko 300 funtów. Tak licznego i dobranego do siebie kompletu nie ma chyba na świecie.

Dwa kościoły nowoyorskie św. Tomasza i Łaski Bożej, posiadają podobne komplety, liczące jednak tylko po 9 dzwonów.

Dzwony dla św. Patryka wykonane zostały nie w Ameryce, ponieważ żadna z lejarń, istniejących w Stanach Zjednoczonych, nie mogła odpowiedzieć żądanym warunkom technicznej i muzycznej doskonałości. Wyrobiono je w znakomitej o wszechświatowej sławie fabryce Paccardów w Sabaudyi (Francya). Odlew jest doskonały i prawdziwie artystyczny, — na bronzie są wyryte nazwiska ofiarodawców.

Próba, dokonana w tych dniach z dzwonami, wypadła jak najlepiej.

Orkiestra dzwonów odegrała cały koncert z utworów muzyki kościelnej. Zakończeniem był wspaniały »Angelus«. — Przy tej sposobności wyjaśniono, w jaki sposób odbywa się manipulacya z dzwonami.

Nie są one bynajmniej poruszane przez ludzi, ale przy pomocy elektryczności. Cała maszynerya jest do tego zastósowaną. Od każdego dzwonu idą druty do centralnego, elektromagnetycznego przyrządu, umieszczonego na niższem piętrze wieży.

Obok tego przyrządu znajduje się rodzaj klawiatury, do której zasiada mistrz dzwonnik. Dotyka on klawiszów i guzików, wprawiających kolejno w ruch dzwony, zmieniając odpowiednio natężenie i melodyę ich głosu i oto płynie z wieży ponad miasto, nad okolice, ponad morze, potężna i wspaniała, jakby w niebiosach zrodzona, melodya.

Wrażenie, jakie wywiera orkiestra dzwonów św. Patryka, ma być podobno przedziwne, głęboko wzruszające. Artystą, który grać będzie stale na klawiaturze dzwonów u św. Patryka, jest niejaki p. Ambrose, znany w New Yorku artysta-muzyk, później organista jednego z katolickich kościołów.

Praktyczne rady.

— **Paseczki gumiane** używane do szklanek do zaprawiania owocu, często stwardną i łamią się. Aby były znów wiśnie, włożyć je na pół godziny w wodę z amoniakiem (1 część amoniaku, 2 części wody).

— **Aby kwiaty** w doniczkach dobrze wyglądały, dolać do wody do podlewania spirytusu winnego, mianowicie na 11 części wody, 1 część spirytusu.

Rozmaitości.

* **Świętokradzki zastaw.** Przed jednym z sądów londyńskich toczył się w tych dniach charakterystyczny proces. Lichwiarz pozywał złotego młodzieńca Edwarda Tounny, zrujnowanego przez marnotrawstwo, o nieuiszczenie należności, kładł przytem wielki nacisk na »rodzaj gwarancyi, udzielonej przez dłużnika«. Sędzia uznał za stosowne spytać, jakiej ta gwarancya jest natury. I cóż się dowiedział? Oto bankrut, nie mając już nic do zastawienia, jako rękojmię, że dług odda, ofiarował ostatnią swoją »nieruchomość«, zastawił w lombardzie — grób rodzinny, wymurowany przez dziadka na cmentarzu w Finckley, w którym to grobie stały już cztery trumny. Zaiste, trudno cynizm dalej posunąć!

* **Sprężystość policyi amerykańskiej**, ilustruje doskonale następujący wypadek. Przed kilku dniami stawił się sam przed sądem krajowym w Wiedniu, niejaki Jan Wel ze skargą na siebie o oszustwo i wyrządzoną przez to drugim szkodę na kilkanaście tysięcy zł. Nie uczynił tego z żalu. Przed laty zbiegł przed długami do Ameryki, wierzyciele zaprzestali dochodzeń, bo starania o wydanie oszusta pociągnęłyby za sobą znaczne koszta. Osiadł w Nowym Yorku i znowu rozpoczął swe oszukańcze rzemiosło. Kiedy nie czuł się dość bezpiecznym w Ameryce, wrócił do Wiednia. Ale amerykańscy dłużnicy nie dali za wygranę, wysłano za nim agenta, śledzącego go trop w trop w Wiedniu. Wel dowiedział się o tem i nie widząc żadnego punktu wyjścia, sam oddał się w ręce sprawiedliwości. Wel był przedtem znany jako słynny sportowiec wyścigowy.



Kto stłukł zwierciadło?

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.